

nie pisać „bebechami” – przepraszam za to określenie, ale ono jest w tym miejscu uczciwie, niezbędne nawet – też zapewne dostalibyśmy dobre wiersze, ale bardziej ukierunkowane w swoim przekazie, powiedziałbym – bardziej zindywidualizowane, nie totalizujące sytuacji autora i odbiorcy.

Być może ta łatwość czytelniczego odbioru poezji Bohdana Wrocławskiego bierze się z pominięcia tej – zawsze kuszącej – chęci przypodobania się publiczności poprzez odróżnienie, własny język, własne przesłanie, w których poszukiwaniu brniemy czasami zbyt daleko zapominając o tym, co wiedział już Heraklit a przypomniał Wittgenstein: język już u swych źródeł jest społeczny, wspólny, nie jest prywatny. Prywatny język nie istnieje, co dla poetów bywa kłopotliwe o tyle, że chcemy, co normalne, wyróżnić się własnym myśleniem, własnym głosem, własnym idiomem poetyckim, w końcu to my piszemy swoje wiersze a nie ktoś inny. I to normalne, ale stanowi jedynie zewnątrz poetyckiego przekazu. Nie warto na nim się skupiać szukając poetyckich geizerów i wodotrysków. Warto robić z tego inny użytek – tak jak czyni to Wrocławski. Jego wiersze pisane są z poziomu pewnej podskórnej, cielesnej wręcz głębi naszego życia, są pisane z tego poziomu, który jest gatunkowo nam wspólny. I stąd ta łatwość dotarcia do czytelnika ze swoim przekazem, którą widzę – tak Cię czytam, Bohdanie – u Wrocławskiego. Jeżeli jestem na poziomie wspólnoty, także językowej (bo nie ma prywatnego języka i „prywatnych” ludzi, co Arystoteles już określił definiując nas jako istoty społeczne właśnie), to pewien wspólnotowy sposób porozumiewania się, mówienia do siebie i podobaństwo odczuwania, odbierania świata mamy jakoś zagwarantowany, zabezpieczony. I to, moim zdaniem, w sposób naturalny wykorzystuje Wrocławski. Zwróćmy choćby uwagę na to, jak swobodnie w jednym wierszu pojawia się u niego, bezkolizyjnie obok siebie funkcjonując, kilka osobowych sposobów narracji: myślę tu o pisaniu, prowadzeniu wiersza z poziomu „my”, ale i – w tym samym wierszu – z poziomu „ty” czy z poziomu autorskiego „ja”. Widać to choćby w wierszu:

Urodzony w nocy

*Prawdopodobnie ktoś kto urodził się w środku nocy
w momencie w którym wiatr przyciska oddech do ziemi
a stada średniowiecznych czarownic
opuszczają nas
zrozumie
nadszedł czas sztormu*

najbardziej intymne sny cofają się w głąb lądu

*śpimy w zdumieniu które charakteryzuje
niemowlęta z zaciśniętymi koło głowy piąstkami
nikt nie grzeszy grzech pierworodny
został zmasany lub zaginął tak
jak ginie echo wśród oszalałych
piasków pustynnych*

*powoli wymijamy się z naszymi pragnieniami
potrzebę biegania na bosaka po porannych trawach
osypanych rosą
chęcią trzymania kobiecych dłoni
przy swoich wargach
oddechem
starszym niż groty skalne na obrzeżach Pienin*

*w gruncie rzeczy
wiecznie budzi się w nas to
co jest najbardziej kruche
jakieś gesty na peryferiach cywilizacji
imperium rzymskiego odłupane fragmenty ceramiki
na których nie zdążyliśmy zapisać własnego imienia
z nadzieją że odczytają je inni*

*klucze bocianów
w ciągłej wędrówce między kontynentami
cień nieuchwytnego natchnienia
które czasami odwiedza nas w dni świąteczne*

*ale przecież dostrzegamy to aż nazbyt wyraźnie
umierają wiersze
ich skrzydła trzepocą nerwowo
w poprzek naszej zadumy
i rozwieszanej w kącie pajęczyny
lub odwiedzają nas
pola bitew pełne rudych ruchów
w ciszy tak skondensowanej
że nikt nie może jej odczytać*

*pragniemy powracać nawet wtedy
kiedy zamarzną w nas
wszystkie nie odczytane myśli*

*milczysz zafascynowany swoją obecnością
palce w głębinach odczytują ostrość wrzosów
traw nadbrzeżnych
pawich oczu na skrzydłach
schnącego od wiatru motyla
rdzy rozkładającej nasze wzruszenia*

*trzeszczą poszycia dachów pęka więźba
niczym bukiet rozlanego mleka
stygnie niebo osypane spróchniałym drewnem
w poprzek naszych ciał otwierają się autostrady
w upalne poranki wysycha krwiobieg*

*alfabet zbyt ciasny abyśmy mogli w nim
zapisywać nasze zdumienia*

*być może
tymczasem spadł pierwszy wiosenny deszcz
na krawędzi dachu starego domu usiadł anioł
ruchem pełnym zniecierpliwienia
poprawiał opadające pióra
był garbaty
coś szeptał zbyt jednak odległego
od czasu w którym zabłądził
abyśmy stojący na poboczu jego westchnień
mogli to odczytać i zrozumieć
jego twarz rozkapryszonego dziecka
nieskoordynowane ruchy skrzydeł
krople uderzające w rynnę ich muzyka
w środku gwarne miasta
dotarły do mnie w tym czasie
kiedy niebo spurpurowiało
od wysiłku zachodzącego słońca
zrozumiałem nigdy nie uda mi się odlecieć
skrzydła nasączone wodą i niespełnieniem
w czasie zamieci śnieżnej przemarzły
strzępią się
z nich kolorowe sny fantastyczne piaskowe wydmy
zamki
ołtarze
składające się do wewnątrz rozgorączkowanego ciała
szkwał oczyszczający maszty
z resztek żagli i naszej zadumy*

*cóż można czcić bardziej od własnego pogaństwa
i barbarzyństwa*

*milkną w nas pałace Rzymu
błagania gwałconych kobiet dym pożarów
oczyszczający ulice z zarazy
galerie pełne
wyobraźni starych mistrzów*

*cóż można czcić bardziej od własnej niechęci
być może nic nie znaczące skrzywienie warg Hamleta
klus małych tatarskich koników*